№ 29.

WARSZAWA, DNIA 10/22 Lipca 1865 R.

TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

DWA LISTY

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

Miłość macierzyńska jest najczystszą miłością na ziemi.

Od dni dwóch spodziewano się w Zielęcinie powrotu pani Skalinieckiéj z *Kreuznach*: sama dnia nie wiedząc, doniosła tylko, że od kolei ekstrapocztą przybędzie. To też dnia trzeciego wyglądano jéj na pewne.

Pokoje odświeżone, gotowe na przyjęcie pani, przebiegał w górę wystrzelony, smukły i urodziwy młodzieniec, syn jéj dwudziesto-letni Jan, mając zawsze jeszcze coś do porządkowania.

W salonie na stole przed kanapą stał piękny bukiet z najświeższych kwiatów i koszyk z wybornym owocem, uśmiechały się z niego zarumienione brzoskwinie, śliwki, modrym, niby nietkniętym pokryte pyłkiem, winograd i melon barwy złotawéj — istnie jakby na obrazie szkoły flamandzkiéj.

— Mój Tomaszu, niech tylko wszystko będzie w pogotowiu! — powtarzał młodzian po raz trzeci czyli czwarty do starego sługi, który równo z nim krzątał się wszędzie. Czekolada, sucharki!... Mamy tylko patrzeć! — otworzył fortepian i rozłożył przywiezione z sobą *pot-pourri*, z pieśni i piosenek swojskich; zapuścił stor wzorzysty od strony południowéj by słońce sierpniowe zbytnie nie ogrzało pokoju, i zapaliwszy cygaretkę wybiegł do ogrodu. I tutaj jeszcze jedno i drugie było do urządzenia: *aloes* na kamiennéj podstawie pochylił się trochę, *oleander* pare zżółkłych miał liści — i cudne kwiecie, świeżutkie a wonne pięknéj rosa-thea, w porannéj rozwite rosie, ukryte za liściem, potrzeba było wychylić więcéj, by i ono powitało mateczkę. Chodniki były już od dni trzech czyściutkie, ale to wietrzyk kilka opadłych nawiał listków, to jakaś sucha zaległa gałązka wreszcie i kwiat przywiędły, który pewnie córeczka ogrodnika, swawolna pięcioletnia Kasia, młodego pozbawiła życia; a nabawiwszy się nim, porzuciła biedaka — jak to i dorosłe, swawolne dzieci z ważniejszemi nawet przedmiotami czynić potrafią.

— Gorgolewski! Gorgolewski! — zawołał Jan — a nie kwitnież tam który *rododendron*? — gdy w tejże chwili ozwała się trąbka pocztarska, i młodzian, nie dosłyszawszy odpowiedzi, szybko na dziedziniec wybiegł.

Przededwór zajechała pocztowa kareta, w któréj dwie kobiety siedziały.

— Janku! — zawołała starsza, a Janek przyskoczył i drzwiczki szybko otworzył.

Po stopniach karety spuściła się kobieta czterdziestoletnia, piękna jeszcze, z przechowaną barwą świeżości na pięknem licu, kształtnéj kibici, w ciemnych sukniach podróżnych.

— Mój chłopcze! — Mój Janku! — przytuliła matka syna w objęciu. Jakaż to niespodzianka! Nie myślałam ciebie tu zastać!

— Przybyłem wcześniéj, by mamę przywitać.... i miałem interesu trochę.

Janek zostawał dotąd na akademji agronomicznéj w *.

— Chodźmy, mateczko! — i wprowadził ją do pokoju.

Panna służąca tymczasem z całą witała się służbą: jeden chwytał pudełko, drugi torbę podróżną, inni nieśli walizę — i ruch był ogólny a wesoły, bo pani Skaliniecka umiała posiąść przywiązanie sług swoich.

— I cóż tam, matuchno jedyna! — wymówił Jan z błyszczącem radośnie wejrzeniem, gdy matka kapelusz zdjęła — mateczka cudnie wygląda! — dodał składając przed nią dłonie — odmłodniona o lat dziesięć, piętnaście, dwadzieścia! Świeżutka, ładniutka! O! błogosławione to źródło, które nam mateczkę taką powraca.

Pani Skaliniecka zapłoniona, z dziwnym jakimś uśmiechem, niby pomięszana nieco, uderzyła syna lekko po ramieniu, pocałowała go w czoło — i chwytając myśl inną, zapytała nagle:

— A czy byłeś też u pana Świerzyckiego?

— Byłem mateczko.

— Pan Świerzycki był opiekunem dzieci pani Skalinieckiéj, owdowiałéj od lat kilku.

— Ale, mateczko! — dodał Jan, przechylając z uśmiechem głowę — byłem gdzieś jeszcze!

— To i gdzież?

— Mateczko.... odwiedziłem Zosię na pensyi.

— Moją Zosinkę! Moją dzieweczkę kochaną! — zawołała matka, odsuwając niedopitą filiżankę czekolady. Cóż tam dziecko moje porabia?

— Zdrowiuśka, a śliczna! Wyrosła jak łątka: przerosła już mateczkę. A świeżutka jak kwiatek.

— Nie widziałam jéj od pół roku! — i niby żal odbrzmiał w głosie pani Skalinieckiéj.

— To też od tego czasu wyrosła prawie nie do poznania.

— Odwiedzę ją zaraz.... odwiedzę ją w końcu Września.

— Mateczko... a ja powiem lepiéj: potrzeba ją na św. Michał odebrać z pensyi.

— Co ty mówisz?! — zapłonęła znowu matka — lat piętnaście.... to jeszcze dziecko.... Cóżby w domu robiła?

— Mateczko, nie moją jest rzeczą dawać rady pod tym względem, ale małą tylko poczynię uwagę. Jeden z kolegów moich opowiadał mi, że panienka, pensyonarka także, wielce zaprzyjaźniona z Zosią ma romansik z bratem jego i pisuje nawet do niego.

— Przez Boga żywego! — porwała się matka.

— Tak, tak, mateczko: sam nawet pare z tych listów czytałem.

— To fatalna jest sprawa!

— Przerażony zatem tą wiadomością, pospieszyłem do Zosi....

— I cóż? I cóż — matka splotła ręce nagłym ruchem, rumiana i zniepokojona do żywego.

— Nic, matuchno, nic! Zastałem Zosię wesołą, pełną szczeréj prostoty: istne dziecko, i odetchnąłem.... Ale zawsze podobno lepiéj, że odtąd będzie pod okiem matki.

— Taka młoda!... Chcę ją przynajmniéj rok jeden jeszcze na pensji zostawić.

— Ma już zupełnie pozór panny dorosłéj. I państwo Świerzyccy radzili, by *edukacyi* swojéj dokończyła przy mamie.

— Hm!.... To kłopot! — poszepnęła pani Skaliniecka, pokręcając głową.

— A Zosia, jakaż była uszczęśliwiona, gdym jéj nadmienił, że może na św. Michał do mamy powróci. Aż podskoczyła, i poznałem całą niewinność jéj duszy, jéj serce dziecęce i przeczyste uczucia.

— Kochane dziecko! — wymówiła matka ze łzą w oku.

— O, mamo, jakiż to kwiatek cudny! Ona mateczce da szczęście, ona życie nasze rozjaśni!

— Ale.... och Boże! — westchnęła pani Skaliniecka, i zaciężyła jéj myśl jakaś, że aż pobladła.

Janek nie mógł rozumieć matki — nie mógł pojąć, co ją niepokoi tyle.

— Mateczka przyjmie do niéj dobrą guwernantkę, pan K. z miasteczka będzie jéj muzyki udzielał — zaczął Jan po chwili, usiłując ulżyć zamyśleniu matki — a zresztą, to mateczka z nią zimą w Warszawie zamieszkaj.

— To wszystko kłopocze mnie niezmiernie — poszepnęła znowu pani Skaliniecka i przycisnęła ręką czoło.

— No, no, mateczko! — ujął Jan jéj drugą rękę i przycisnął do ust — nie smucić i nie kłopotać się bez potrzeby! — i pocałował ją w kolano. Uśmiechnij się matunia!.... Och, żałuję, żem zaraz na wstępie kłopotliwych napędził mateczce myśli.... Matuchno, wszystko będzie dobrze! — i znowu przymilał się matce, dopóki uśmiechu na jéj nie wywołał lica.

— A teraz przejdźmy się po ogrodzie — dodał, podając jéj rękę. Chodźmy! Pomówmy o czem innem, a potem uradzimy coś stanowczego i po Bogu— i zapytując o *Kreuznach*, i wody i towarzystwo tamtejsze, wyprowadził matkę z salonu.

W dni kilka po powrocie matki; wybrał się Jan na obchód imienin krewnego, mieszkającego o mil kilkanaście od Zielęcina. Z rana już wszystko było do podróży gotowe i po drugiem śniadaniu, ochoczo raz jeszcze pobiegł do swojego pokoju, by zobaczyć czyli nie zapomniał czego. Po chwili posłyszał turkot przede dworem, i sądząc, że to jego powóz, już miał służącemu powiedzieć: że o całą godzinę zawcześnie zaprzężono, — gdy matka jego weszła do pokoju.

Jan zwrócił się do niéj, i uderzył go szczególny wyraz, wyraz nieokreślony ukochanego lica; pani Skaliniecka była więcéj rumiana, jak zwykle, jakoś podniecona, pomięszana zarazem, a przytem uśmiechnięta — przymusowo niby.

— Janku! — wymówiła — Janku!.... Szkoda, że odjeżdżasz.... bo gość przyjechał...

— Kochana, jedyna mamo — i biorąc wypieszczoną jéj rękę w dłonie obiedwie, przycisnął ją do ust— obowiązek przyjaźni i pokrewieństwa mnie woła!.... Któż przyjechał?

— Znajomy z *Kreuznach*.... w przejeździe wstępuje.... — jąkała się niby — byliśmy wiele razem .. jest to pan Władysław Runowski z Warszawy.... literat.... Chciałabym, ażebyś go poznał.

— Toćże jeszcze godzinę mam czasu. Zchodzę z mateczką.

Gdy zeszli do salonu, przedstawiła pani Skaliniecka.

— Syn mój, Jan. Pan Runowski.

Ten ostatni uprzejmym wyrazem i serdecznem uściśnieniem ręki, od razu zdobył sobie życzliwość młodego chłopca tyle skorego do poddania się wrażeniu każdemu, bo z młodzieńczem ciepłem obejmował wszystko; a w téj chwili obudzał jeszcze w Janku i wdzięczność dla gościa, że matce ukochanéj złożył ten hołd pamięci i szacunku, nie pominąwszy Zielęcina.

Pan Runowski nie liczył może więcéj jak lat trzydzieści, był przystojny, ładnych rysów twarzy i przyjemnego wejrzenia; przytem miał umysł wykształcony i wielką ogładę światową.

Rozmowa toczyła się ożywiona, pełna interesu i żal było Jankowi, gdy powóz zaszedł, że tak miłego towarzystwa odstąpić musi. Uścisnęli się serdeczniéj jeszcze — i matka i gość wyprowadzili odjeżdżającego przededwór.

W tymże czasie panna służąca — towarzyszka pani Skaliniecki w *Kreuznach* — coś tam panu pisarzowi, kucharzowi i szafarce szeptała: że pan Runowski bardzo często panią u wód odwiedzał; że jéj wielkie czynił grzeczności; przynosił bukiety, książki — i..... — dodała ciszéj jeszcze, że mówiono, jakoby się o rękę pani Skaliniecki starał. To wszystko wszelako zupełną dla reszty służby pozostało tajemnicą, bo gdyby stary Tomasz i jedno o tem był dosłyszał słówko, to i zaraz gromiłby strasznie: że bajki robią i przez próżniaczkę pańskiemi zajmują się sprawami, które do nich nie należą wcale.

To też one pogadanki panny Szpilkowskiéj nie rozeszły się daléj. Pan Runowski po dwóch dniach odjechał —a gdy Jan dnia czwartego powrócił, zastał mateczkę wyglądającą ładnie — wesoło — ale i zamyśloną jakoś — niby i pomięszaną niekiedy, czego sobie bynajmniéj wytłomaczyć nie potrafił.

Dnia jednego siedziała pani Skaliniecka pod wystawą dworu, z robotą w ręku, a Jan czytał głośno jakiś nowy utwór jednego z ulubionych poetów naszych — gdy przyniesiono torbę pocztową: były w niéj gazety i list do Jana. Pani Skaliniecka spojrzała — poznała pismo pana Świerzyckiego — i zapłonęła. Jan złamał pieczątkę — i począł czytać. Matka patrzyła się na niego — nagle wionęła chmura na pogodne czoło młodziana — ściągnęły się usta, a lica pobladły. Pobladła i matka — i niby lekkie przebiegało ją drżenie. Jan porwał się i pobiegł do swojego pokoju. Pani Skaliniecka porzuciła robotę, widocznie zniepokojona wielce — i weszła do salonu. Przycisnęła splecione dłonie do piersi, przechyliła czoło, i szybko pokój przebiegać zaczęła. Długa potrwała chwila i upłynęła niemal godzina, która biednéj kobiecie zdawała się wiekiem. Potem posłyszała głos syna — i przyskoczyła nadsłuchując. Pokojowczyk poskoczył koło okna — i znowu było cicho. Serce pani Skaliniecki kołatało, że aż nie starczyło jéj tchu, i usiąść musiała.

Po chwili przyprowadził stajenny wierzchowca panicza. Posłyszała szybkie kroki syna — widziała, jak dosiadł siwka i cwałem ruszył z dziedzińca.

„Co to? Co to znaczy? — poszepnęła, bardziéj jeszcze zbladła, i załamując ręce, zalała je łzami.

Potem porwała się nagle i pobiegła do pokoju syna. Obejrzała się po nim — przycisnęła rękę do serca: wszystko tutaj żywym obrazem ukochanego tchnęło dziecka. Jedną ścianę zdobiły wizerunki sławnych mężów, zebrane staraniem młodziana; drugą dwie duże szafy oszklone z książkami — skupionemi także przez syna. Bo Janek od lat najmłodszych każdy grosz oszczędzony obracał na kupno książek — i też książka najmilszym na imieniny była mu wiązarkiem. Ojciec żartem zwykł go nazywać swoim *kochanym bibliophilem*, i z pociechą serca temu jego zamiłowaniu dogadzał. Matka przypomniała sobie to wszystko — i znowu łzą jéj zaszła źrenica.

Na trzeciéj ścianie wisiała wielka mappa Europy Po nad łóżkiem krucyfiks — obrazy ojca i matki — i fotografja Zosi.

Parę naukowych książek leżało na stoliku przy łóżku — obok świecznika z niedopaloną świecą, znać późno w wieczór czytywał.

Pani Skaliniecka obejrzała się na wszystko po raz drugi i trzeci — i oczy jéj na biórku spoczęły: było zamknięte — ale klucz tkwił. Niepewnym krokiem przystąpiła bliżéj. Wyjrzała mimowolnie przez okno; tam, na dalekiem polu dojrzała cwałującego na siwku syna, a za nim czarnego Kruczka — i niby odetchnęła wolniéj. Wyciągnęła rękę do biórka — i znów ją opuściła: widocznie jakaś w niéj wewnętrzna toczyła się walka.

„Przecież to mój syn i moje dziecko" — poszepnęła. — „Ja mam prawo!...." „Nie masz takiego prawa!" — niby jéj głos odpowiedział wewnętrzny. — „Zdradzasz jego dobrą wiarę i zaufanie! — zacisnęła dłońmi oczy i lekko zadrżała. Po chwili znów wyjrzała przez okno siwek już był pod lasem—a Kruczka już i nie dojrzała. „Dla naszego dobra! dla szczęścia naszego!" — poszepnęła znów — „Przepuść mi, o Boże! — i nagłem poruszeniem odemknęła klapę. Przerażona cofnęła się o krok jeden a wzrok jéj spoczął gorączkowo na liście pana Świerzyckiego, przy którym leżał arkuszyk welinowy, świeżo ręką syna zapisany.

Pani Skaliniecka ciężko westchnęła — podjęła list, który intrygował ją tyle; rozwinęła go, i spokojna na pozór — lecz można było uderzenia jéj serca posłyszeć — nieruchoma i blada, przeczytała co następuje:

„Drogi mój Janku!

Czyli już wiesz, lub nie wiesz jeszcze, to zawsze w smutnéj a dotkliwéj materji mam dziś obowiązek pomówienia z tobą.

Wczoraj był u mnie pan Runowski i oświadczył mi: że pozyskał słowo matki twojéj i żeni się z nią...— wiadomość ta raziła mnie piorunem, ale cóż miałem mówić?! — Byłem grzeczny dla pana Runowskiego— i na tem wszystko. Zatrzymałem go na noc, i dziś gdy odjechał, siadam i piszę do ciebie.

Zmartwiłem się na wskróś tem postanowieniem matki twojéj — jakkolwiek, że mam wiarę w jéj charakter i w jéj serce dla was. Rozumiem, że jest jeszcze dość młoda i ładna. Pan Runowski podobać się może — i nic nie mam przeciwko niemu... Ale... jest on z jakie lat ośm lub dziesięć młodszym od niéj!...

— O wątpliwości wszelako owego szczęścia, które sobie pani Skaliniecka zgotować zamyśla, uwagi nie poczynię żadnéj; — ani też o powodach jakie pana Runowskiego skłonić *mogły* do starania się o względy i rękę matki waszéj. Bo nie chcę i najlżejszéj rzucić myśli, którąbym jemu ubliżał — a więc mówmy raczéj o was.

Ty, mój Janku, będziesz więcéj po za domem matki: osiądziesz na swoim chlebie, i nie wiele będziesz zostawał z ojczymem. Ależ Zosia!... biedna Zosia! jakiż to będzie jéj stosunek: panny już niemal dorosłéj w obec młodego ojczyma!... Jakież stanie się jéj położenie w domu matki? — Biedaczka cieszy się na powrót pod strzechę rodzinną — a dom ten zobczeje dla niéj, bo obcy w nim człowiek zawodzić będzie! —

Matka będzie pospołu z nowym małżonkiem, a córka nieboszczyka pozostanie zawsze sama i osierocona! A jeszcze.... a jeszcze— powiedzmy szczerą prawdę— mój Janku — czyliż jéj to zamężcie matki do ustalenia własnego losu, do pójścia za mąż nie zaszkodzi?!... Świat różnie, przeróżnie na wszystko patrzy — i racéj wszędzie złe najłacniéj widzi. Nie chcę tu wchodzić w żadne drobiazgowe rozbiory, bo i tego com już powiedział, jest dosyć.

Przewielkie są obowiązki dziecka dla rodziców i niczem niezakreślonych wymagają poświęceń — alež i równie przewielkie są te, jakie rodzice w obec dzieci swoich przyjmują. Dziecko nie prosiło się o życie— i jeżeli rodzice losem jego przez miłość własną, przez zaniedbanie, przez niesprawiedliwość naganną przenosząc jedno nad drugie, lub inne najnaganniejsze uczucia pokierują nieszczęśnie: jeżeli mu cały zwichną żywot i dniom jego gorycz i niedolę zgotują, — ach, to dziecko złorzeczy temu darowi życia a na dawców dni jego, ciężka spada odpowiedzialność.

Janku! jesteś rozsądny i zacny, kochasz matkę i siostrę—i na tobie wielkie ciężą obowiązki: masz być podporą dla matki a opieką dla siostry. Idźże przeto do matki, upadnij jéj do nóg—przełóż wszystko—proś, błagaj—by zaniechała tego zamiaru swojego: by go zaniechała, jako szlachetna matka, dla szczęścia dzieci swoich!

Ty potrafisz tego dokonać—i serce matczyne twojego posłucha głosu.

Jako opiekun wasz, miałbym może maluczkie prawo przemówienia do niéj słówko—lecz nie chcę ranić jéj uczuć niewieścich, jéj wrodzonéj tkliwości, nie chcę z tego smutnego korzystać prawa.

Tobie łacniéj to ujdzie, a co sobie w cztery oczy powiecie, tego nikt w świecie wiedzieć nie potrzebuje.

Bóg niechaj ciebie oświeci!

Michał Świerzycki.

Pani Skaliniecka, blada jak mara, z uwagą list ten przeczytała, a potem na dawniejszym położyła go miejscu. Ścisnęła dłońmi skronie — i przez chwilę nieruchomą pozostała. Poczem znowu spojrzała na biórko zadrgnęła, drżącą ręką pismo pochwyciła syna: była to odpowiedź jego na powyższy list opiekuna. Literki skakały przed oczami matki i różną mieniły się barwą, jak gdyby z opalu wykute były. Przebiegła pierwsze wyrazy ze drżeniem, jakoby we febrze— lecz niebawem złagodniał wyraz jéj lica i tkliwemu rozrzewnieniu ustąpił.

Janek pisał.

„Najszanowniejszy Opiekunie!

Wiadomość odebrana, a nadspodziewana zmartwiła i mnie do żywego, szczególniéj ze względu na Zosię. Anim przypuszczał kiedy... ani przypuścić mogłem!...

Ależ, opiekunie mój kochany! Skoro matka nasza w tym związku szczęście widzi swoje, to i któżby jéj chciał jakąbądź ku temu położyć tamę?—Komuż służy takie prawo i któżby je sobie chciał przywłaszczyć? Któżby śmiał poczynić jéj uwagi, któreby jéj przyczyniły goryczy, któreby ją dotkliwie zraniły!— Mój zacny opiekunie, z pewnością nie *ja*, i to nigdy, *przenigdy*!—Jakżeż by syn miał przyganiać postępowaniu matki? Zkądżeby mi takie bezsercowe zuchwalstwo?... Och, wybacz panie że w ten sposób się wyrażam odpowiadając na twoje poczciwe uwagi, i życzliwość płynące ze szczerego do nas przywiązania! Wybacz, bo pomnąc na wątpliwość szczęścia ukochanéj matki—pomnąc na Zosię, serce się ściska i w głębi duszy boli. Bo kocham matkę całą siłą miłości dziecęcéj i korzę się przed nią, jako przed ziemską świętością swoją—a nie mogę—nie chcę—nie powinienem i jednem przed nią zdradzić spojrzeniem, co w łonie dzieje się mojem i jakżebym to w słowa zdołał przyoblec?—Nie, nie! I Zosia nie chciałaby tego i ona pragnie szczęścia matki—i ona chętnieby dla niéj swoje własne w ofierze przyniosła — boć i ona matkę zarówno zemną kocha!... Zosia moim jest aniołkiem, i będę czuwał nad nią, czuwał nad jéj szczęściem, więcéj aniżeli nad swojem. Ufajmy więc Bogu, że wszystko stanie lepiéj, aniżeli obecnie pozory straszą. Bóg kocha takie sierotki, jak nasza Zosia! Mamy przecież i matkę kochaną, poczciwą, przed którą oboje w miłości i pokorze kolana zginamy. Niechaj przeto jedynie Bóg dobry losami nas wszystkich kieruje!...

Na tem urwał się list Jana, który znać po powrocie z przejażdżki dokończyć zamierzył. Biedny, dużo cierpieć musiał.—Pani Skaliniecka, czytając nakreślone przez syna wyrazy, gorącemi zalała się łzami. Potem ułożyła go znowu gdzie leżał, biórko zamknęła— utuliła lica w dłoniach—łzy otarła—i zeszła do swojego pokoju. Drzwi zamknęła za sobą—i na kolana przed obrazem Matki Bożéj upadła.

Po długiéj dopiero chwili wyszła: była blada bardzo, a powieki miała mocno zarumienione. Zadzwoniła i oddała pokojowcowi list, by go bez zwłoki na pocztę zawiózł. List ten był do pana Runowskiego. Poczem lekki zarzuciwszy płaszczyk, udała się do ogrodu.

W pół godziny późniéj wrócił Jan.

Matka zobaczyła go zdaleka i przywołała do siebie. Nadbiegł z pośpiechem, był rumiany, znać szybką jazdą wzburzony. Ujął rękę matki i przycisnął ją do ust, Matka przytuliła głowę jego do piersi i pocałowała go w czoło — oboje mieli łzy w oczach.

— Chodź, Janku!—wymówiła spokojnie—przejdźmy się trochę.

— Zaraz, mateczko, zaraz przyjdę... tylko listu dokończę, który chcę dziś jeszcze na pocztę wyprawić.

— To później, później, moje dziecko!... Chodź!— i ujęła go pod rękę.

Janek dał się prowadzić jak dziecię. Skłonił głowę, bo oczy jego były przepełnione łzami.

— Słuchaj Janku! — zaczęła matka z niewysłowioną pogodą lica—jutro zacznę porządkować pokoik dla Zosi obok mojéj sypialni, a potem pojedziemy po nią.

— Po Zosię! — młodzian spojrzał się nagle na matkę, a wyraz weselszy zapromienił z pod łzy w jego modrem oku.

— Tak jest, pojedziemy po nią oboje—uśmiechnęła się matka, a uśmiech ten był podobny do zabłysku słabego promyka z poza chmury deszczowéj, która zwolna przemyka i jaśniejszy już odsłania błękit.

Janek znowu gorący pocałunek na jéj ręce złożył.

— Zajmiemy się troskliwie dokończeniem jéj wykształcenia — ciągnęła daléj pani Skaliniecka — uradziemy jak będzie najlepiéj... Ale do żadnego miasta z nią nie pojadę: zimę spędzimy w Zielęcinie pożytecznie dla niéj a przyjemnie dla nas.

— Pomyślimy... uradzimy — poszepnął Jan, nic nie rozumiejąc zamiarów matki.

— Będzie nam tak wszystkim dobrze,.. ale wiesz... mówiła dalej po chwilowem milczeniu przymuszając się do lekkiego uśmiechu, i pobladła znowu... czy wiesz?

— ...Janek poczuł, że nieco cięźéj opierała się na ramieniu jego — czy ty wiesz, żem wielką niedorzeczność popełnić *miała*?

— Niedorzeczność? Mama!—zawołał syn.

— Tak jest, moje dziecko: *miałam* pójść za mąż— odrzekła jak najspokojniéj.

Jan pochylił głowę, a serce mu zabiło, jak gdyby wyskoczyć chciało.

— Pan Runowski oświadczył się o moją rękę—mówiła daléj pani Skaliniecka bez najmniejszéj zmiany głosu — ale... odpowiedziałam mu dziś właśnie stanowczo, że dla was jedynie żyć będę.

Stanęli właśnie za klombem drzew. Jan puścił rękę matki – rzucił się przed nią — objął jéj kolana— przytulił się do nich — i zapłakał jak dziecko.

— Janku!... Dziecko! — wołała matka głosem stłumionym.

A jakby na *Amen*! téj chwili uroczystéj pomiędzy matką a synem, ozwał się wśród ciszy przedwieczornéj, harmonijnie, dzwon w kościołku wiejskim na Anioł Pański.

Matka i syn pobożnie dłonie złożyli.

W parę tygodni potem, zajechała landara przededwór w Zielęcinie, i wyskoczyła z niéj śliczna młodziuchna dzieweczka, uścisnęła brata, który mateczce rękę podawał, powitała domowników radośnie, pogłaskała cisnące się pieski i wesolutka, jak ptaszek, do sieni frunęła.

Matka wskazała Zosince swojéj, przeznaczony dla niéj pokoik, ładniutki, świeżutki, ukwiecony, która nie mogąc dosyć się nim nacieszyć, poskoczyła potem do ogrodu — witała każde drzewko, każdy kwiatek— i ucałowała maleńką Kasię ogrodnika, swoją ulubieniczkę; wreszcie powitała każdy zakątek domu, wszędzie było jéj pełno.

A gdy potem do fortepianu zasiadła — zagrała — i milutkiem głosikiem śliczną swojską zaśpiewała piosenkę, — ujęła matka, stojąca za nią, jéj główkę i przycisnęła z miłością do serca. Podała rękę Jankowi — i syn i matka znowu mieli łzy w oczach — tylko dzieweczka wiosenna, tego rozczulenia zrozumieć nie mogła, bo jéj tak było wesoło i błogo w młodziutkiem serduszku, przy mateczce i przy braciszku kochanym.

PO DNIESTRZE.

II.

CHOCIM.

Na wyniosłym, prawym brzegu Dniestru o dwie tylko wiorsty od granicy Austryackiéj, leży stary Chocim, dziś powiatowe miasteczko Besarabii.

Od głównéj drogi przyjazdu widać nie wielką tylko część miasta i to nie posiada żadnéj wybitnéj fizyognomii prócz téj, iż w porze deszczów jesiennych przedstawia się jak jedno błoto, a w suszę letnią okrywa tumanami pyłu. Domki prawidłowo rozłożone jak we wszystkich miastach powiatowych, wybielone kominy i malowane okiennice, a na ulicach cisza jak zwykle gdy życie historyczne uleci a handel jeszcze nieprzyszedł. A jednak Chocim był miastem gdzie Genueńczycy mieli swoje fakteryje i osady; zadaleko jedna c zachodzą ci którzy chcą początek miasta zamorskiéj ludności przypisać. Sama nazwa Chocimia świadczy o jego sławiańskiem pochodzeniu; Turcy i Mołdawianie zowią go Chotiń widocznie zastawszy już i miasto i nazwisko. Nie mniéj szybko zatarły się pamiątki panowania Turków i owych zapasów krzyża z dwurożnym półksiężycem (wiek XVIIty) jakich świadkami były na ówczas silnie obwarowane mury Chocimia.

Dla przybywających jest tu kilka karczem żydowskich dawnym wzniesionych krojem. Lecz jeżeli w miejsce materaców znajdziemy tu siano, a w szparach łóżka i ścian stancyi drewnianych, mnóstwo dręczących stworzeń, to w nagrodę spotka nas niezmierna taniość. Hotele też są pełne bo do powiatu każdy spieszy z interesem. Nadaje to im szczególny charakter, gadatliwa bowiem i ciekawa prowincya nie umie i nie może żyć samotnie, i wszyscy też bez wielkich ceremonii starają się z sobą zapoznać. Wyrobiły się nawet w tym względzie pewne zwyczaje, któreby nie mało zgorszyły etykietalnych synów Albionu gdyby którego z nich interes lub ciekawość aż do Chocimia zagnała. Ta przyjacielskość sprawia, iż podróżnik w Chocimskiéj karczmie narażony jest na ciągłe wizyty.

Otwierają się drzwi, i wchodzi wcale nie anonsowany, jakiś jegomość tłusty, gruby o czerwonych świecących zdrowiem policzkach.

— Moje uszanowanie! woła głosem stentorskim wesoło wyciągając dłonie.

— Witam pana!

— Mam honor przedstawić się N. wasz sąsiad hotelowy...

— Bardzo mi przyjemnie, w czem Panu mogę służyć?

— Ot tak, niczem jak na teraz, ale ponieważ gorąco ogromne i cały powiat siedzi w biurach, przybyłem do pana spędzić kilka chwil na pogawędce.

I poczciwiec, ocierając pot z czoła, zasiada sobie wygodnie i sypie pytaniami kto, z kąd, po co, z jakim interesem podobnie jak na cenzurowanem, w które tak lubią grać pensyonarki i gadatliwa młodzież.

Inną razą wchodzi jakiś jegomość i po pierwszych formułach przedstawienia pyta wręcz:

— Grasz pan w preferansa?

Na przeczącą odpowiedź robi wcale kwaśną minę, a jeźli jesteś z grających możesz być pewnym powodzenia i możesz nie jeden tydzień w Chocimiu spędzić na zapasach przy zielonym stoliku.

Odprawiwszy amatora preferansa, gdy już sądzisz się spokojnym, znowu sztukają do drzwi, i nie czekając na przyzwalającą odpowiedź wchodzi nowa postać. Zrazu mniemać można iż to wizyta sąsiedzka z interesem o pogawędkę lub rozgranie pulki, kłania się bardzo uprzejmie, wita grzecznie i nareszcie siada jak człowiek czujący swą wartość. Tym razem jednak formuła przedstawienia daleko ciekawsza, przybyły bowiem mianuje się literatem jurystą miejscowym.

— Pan będziesz się bawił w naszem miasteczku— mówi on—jadł, pił swobodnie, a ja będę pracował. Proszę zawierzyć memu dwudziesto pięcio letniemu doświadczeniu... mogę pisać i referować nietylko urzędowe papiery, ale i najdelikatniejsze listy, dzięki zdolnościom i wprawie literackiéj.

Widocznie więc ów literat-jurysta zastępuje Chocimowi tak dobrze we Włoszech znaną postać publicznego pisarza listów miłosnych. Jaka szkoda iż łysina niepozwalała nam zebrać próbki tej czułéj korrespondencyi.

Nie mniéj ciekawą postacią w galeryi przesuwającéj się przez numer Chocimskiego zajazdu jest faktor stręczący towary. Chocim w głuchym leży kącie, w bliskości współzawodniczącego Kamieńca Podolskiego, nie mniéj przecież posiada stosunki handlowe z wielkiemi miastami Cesarstwa.

Kronika literacka.

Zbiór bajek słowiańskich. Pod tym tytułem, A. Chodźko professor literatury słowiańskiéj kollegjum francuzkiem, wydał dzieło z uczonemi komentarzami, wykazującemi bajek tych indyjskie pochodzenie, którego trzy tysiące egzemplarzy natychmiast rozkupiono. W pięknéj, tchnącéj miłością ludu przedmowie, Chodźko powiada, iż może mu kto wyrzucać będzie, że śmiał porównywać bajki niepiśmiennego ludu z arcydziełami starożytnych Indji. Toż historja, krzykną krytycy dopiero w VI wieku o słowianach wspomina, jakże mogą być starszemi od naszéj ery? Tym odpowiem, że to nie pierwsze i nie ostatnie zapomnienie pisanéj historji. Czyż nam wytłumaczyła z jakiego powodu, jedno z narzeczy słowiańskich, język litewski, do sanskrytu najpodobniejszy ze wszystkich języków żywych? Czyż wyjaśniła kwestję początków i emigracji innych ludów europejskich? Dzięki Bogu, nauka roztargnienie kronikarzy naprawia. Filologja porównawcza, uklassyfikowała już języki w porządku, w jakim wysnuwały się z siebie, a tem samem na tyleż ras podzieliła mówiące niemi ludy. Tym sposobem od słowa sięgając do myśli która wyraża, dopatrzono, że wszystkie wzniosłe rzeczy, które genjusz człowieka począł i urzeczywistnił w Indjach, Grecji, Italji i w chrześcjańskim świecie, że wszystkie te zdobycze są po większéj części dziełem jednego szczepu Arjasów. Po ich słowach i mytach, badacze doszli mnóstwa ogniw tradycyjnego łańcucha wiążącego ludy z tą rassą dostojną.

Powiastki pełne wdzięku i prostoty, Chodźko z wielką sztuką na język francuzki przełożył, po mistrzowsku słowiańską naiwność wyraził, barwiąc suchą i niepoetyczną mowę Francuzów. Francuzi bardzo w tych powiastkach rozmiłowani. Czynią oni im zapewne wrażenie czarnego chleba z solą, który, sam jeden przesyconemu smakoszowi nawet po wykwintnym objedzie smakuje. Jedna z tych powieści czeskich przetłumaczona na język niemiecki, zwróciła uwagę członka Instytutu p. Laboulaye, i tak mu się spodobała, że ułożył z niéj dwie najładniejsze swoje bajki.

Umieszczony przez Chodźkę w przypisach przekład tekstów indyjskich dowodzi w istocie, nieraz dosłownego podobieństwa bajek słowiańskich z wymysłami indyjskiéj fantazji. Orjentalista nasz, skrzętną i inteligentną pracą dowiódł Francuzom prawdy słów: iż gdyby słowianie zbierali swoje bajki ludowe, mogliby ułożyć mitologją tak obszerną jak indyjska.

PIEŚŃ DZIEWICZA.

Idziem na pole, z wiankiem na czole,
Młodą pszeniczkę pleć;
Rwiemy pierwiosnki, śpiewamy piosnki,
Słoneczko świéć nam, świéć!

Lekką jest praca, gdy pieśń ją skraca,
Bogdaj to zawsze pieć;
Czas szybko leci, słoneczko świeci.
Słoneczko świéć nam, świéć!

Chłopaki orzą ziemicę bożą,
Nam lepiéj w cieniu pleć;
Im przykre słońce, że zbyt gorące.
Słoneczko świéć im, świéć!

Niech się opalą, bo zbyt się chwalą,
Że białą mają płeć;
Będziem się śmiały z ich próżnéj chwały.
Słoneczko świéć im, świéć!

Urodni chłopcy! raźni parobcy!
Nie złapać wam nas w sieć;
Bo my milutkie, bo my bialutkie.
Słoneczko świéć nam, świéć!

Lecz ty sokole, o jasném czole,
Piosenkę dla nas skleć;
My cię obronim, liściem osłonim.
Słoneczko świéć nam, świéć!

Adam Kruman.

DWOREK.

Leci konik mój żwawo, —
Przez las droga na prawo, —
Ot lipowa ulica,
Ot i dworek szlachcica.
Błyszczy ogień zdaleka,
Na podwórku pies szczeka;
Wpadam w izbę znużony —
— Pan Jezus pochwalony!

— Witaj, witaj nam bracie!
Co słychać? jak się macie?
Oddawna cię czekamy,
Oddawna wyglądamy.
A onaż, Boże, ona —
Jak żona zapłoniona;
Tyle w oczach jéj nieba, —
I cóż mi więcéj trzeba.

Gadu, gadu o roli,
O doli, o niedoli; —
Wreszcie proboszcz zaprasza
Staruszka do marjasza, —
A my od pogadanek
Wymykamy na ganek;
Tam siadamy w ustroni, —
I jéj rączka w méj dłoni.

O! w tym skromnym futorze
Błogosławieństwo Boże,
Tutaj wytrwano w wierze,
Anioł Stróż domu strzeże, —
Tutaj skromna prostota
I naszych ojców cnota, —
Tu pobożny duch wieje,
Rosną młode nadzieje.

Adam Kruman.

Pogadanka Tygodniowa.

Plusk-plusk... Plusk-plusk... szepczą orylskie drygawki prując modre fale Wisły, poruszane silną ręką flisów.

Plusk-plusk... Plusk-plusk wtorują Warszawiacy, gdy deszcz uliczne warstwy miałkiego pyłu, zamieni w błotniste kałuże. I gdy pierwszy nadsłuchując szeptu drygawek, marzy o rodzinnéj strzesze, o niwach kłosistych, cienistych lasach, śpiewie raźnych żniwiarek, i o dziwach Warszawskiego grodu i ciekawościach zamorskich; drugi zaś cieszy się świeższym oddechem, spoglądając z pewną przyjemnością w połyskujące tu i owdzie zwierciadlane tafelki wody, ja, Wasz gawędziarz tygodniowy, w czasie rzadko zjawiającéj się posuchy, brnąc przez pylaste pokłady niektórych ulic, marzę także o tyle pożądanéj pluskaninie, a żałuję że urodzony człowiekiem, a nie wróblem, kurą, dzierladką lub innym członkiem grzebiącego rodu, nie mogę na wzór ich, użyć suchéj w piasku kąpieli.

Wybór miejsca byłby, nie trudny, a najwygodniejsze znalazłoby się w okolicy teatru, bo w piasku na upartego, udałby się nawet nurek. Jeżeli zaś przechodząc przez te minjaturowe Sachary, spotkam się z ciemnemi kłębami gęstego kurzu, wówczas zakrztuszony i nadduszony, zdaje mi się być przemienionym w wyrocznią Olimpijską, z trójnoga ogłaszającą wyroki przyszłości.

Władzę tę choć tak starożytną, radbym jednak przynajmniéj na chwilę posiadać, aby coś pewnego wywróżyć o urodzajach tegorocznych, obchodzących nas zarówno orzących piórem, jak i Was żyjących w zaciszy naszych wiosek. Wiadomości bowiem w tym tak ważnym przedmiocie są niezmiernie rozmaite, i gdy jedni cieszą się nadzieją pomyślnych plonów, inni skarżą się, rozwodząc co daj Boże przedwczesne może żale. Ogólnie jednak narzekają wszyscy na niezwykle dokuczliwe zimna, na zbyteczne deszcze, na burzliwe wiatry, nie bardzo przyczyniające się do urodzajów. Z niektórych miejsc dochodzą nawet nie miłe wieści o gradach i szkodach przez nie zrządzonych: w okolicy Ryczywoła spadły grad dochodzący w końcu do wielkości gołębiego jaja, zniszczył wszystko, zostawiając na miejscach więcéj odkrytych, tylko czerniejącą ziemię.

W Cesarstwie w okolicy Wilna w końcu zeszłego miesiąca były przymrozki i widziano nawet mnóstwo kłosów żytnich zwarzonych mrozem. W Makarewie zaś w Gubernji Kostromskiéj, według otrzymanéj z tamtąd Korrespondencji, zimna od saméj zimy aż do połowy Czerwca tak dokuczały, że nie było jednego dnia pozwalającego obejść się bez futra i palenia w piecu.

Wszystko to niezwykłe, nie normalne, a więc nie bardzo pocieszające, ale:

Człowiek waży.
A Bóg gospodarzy,

Gdybym jednak mógł posiąść dar wróżebny, rad byłbym mu niewymownie. Trwożących się bowiem o plony pocieszyłbym: zbytnie cieszących się spodziewanym urodzajem i naprzód rozporządzających dochodami, troszeczkę poskromił, a niezaprzątającym się tem, lekceważącym, pogroziłbym palcem, ale nie w kieszeni.

Idąc daléj w przypuszczeniach, z darem moim zdałbym się i uczonym, mozolącym się zapewne niewymownie, nad zjawiskiem niebieskiem w Gdańsku i nad gąsienicami napadającemi lasy około Elbląga i Torunia. Zjawisko to było niepospolite, przypadło podczas najpiękniejszéj pogody i trwało przeszło kwandrans. Nad słońcem wspaniale unoszącem się na niebieskim lazurze, pokazało się koło białawe, jakby z mgły i małych chmurek złożone. Jednocześnie drugie takie same koło, roztoczyło swe kręgi w około samego słońca i wyrazisto się odznaczając niby olbrzymia obrączka, przecięło górne koło w dwóch punktach. W przecięciach pokazały się dwa nowe słońca, barwy tęczowéj drgające światłem co chwila zmieniającem się.

Wytłumaczenie tego zjawiska nowym stało się kłopotem dla uczonego świata, mozolącego się szczególniéj obecnie nad ognistym pierścieniem Saturna, jego naturą i wszystkiemi dotąd dostrzeganemi zmianami. Ale ciekawość ludzka w cierpliwości niema granic, i gdy pierwszy Galileusz dostrzegał tylko dwa księżyce, znajdujące się na krańcach Saturna a późniéj dopiero przekonano się, że ciało to otoczone jest obrączką spłaszczoną nie dotykającą kuli, dzisiejsi astronomowie, wiedzą, że obrączka ta składa się z kilku tak dalece nie równéj światłości pierścieni, że jedne z nich wydają się jakby czarne przy drugich. Domyślają się przytem, że te czarne są wypalonemi materjami, które z czasem spadną na kark Saturnowi i w całym stworzonym świecie narobią takiego bigosu, że słońca, księżyce, planety, komety i t. d. lecieć będą jak liście z drzewa, albo gruszki... w przepaści bezdenne, bez granic i końca. Byłby to grad nad gradami, w którym ziemia nasza wyglądałaby jak mucha pomiędzy osłami, cóż dopiero człowiek? Będąc wróżbitą wiedziałbym również, czy drut telegraficzny mający związać Anglję z Ameryką a obecnie na nowo układany, nie zerwie się, przy zatapianiu go na dnie morskiem i będzie trwałym w dalszym lat przebiegu? Sznureczek bo to niepospolity, długi 2,600 mil angielskich. Główny przewodnik elektryczności składa się z siedmiu nici miedzianych zwiniętych w sznurek i odosobnionych według przyjętéj zasady Chattertona. Ten pierwszy przyrząd obwinięty jest czterema osobnemi pokładami gutaperki, odosobnionemi tymże samym sposobem. Nakoniec gutaperkowy pancerz, okręcony jest dwunastu żelaznemi niciami, z których każdą osobno okręcają konopie namoczone w smole.—Do zerwania takiego sznureczka, zdaje się że morze choćby przywołało wszystkich duchów zaluduiających tajemnicze jego otchłanie, nie będzie miało dostatecznéj siły, i choć niechętnie musi przyjąć gościnnie ten nowy most dla mowy ludzkiéj. Materjału spotrzebowano także niepospolicie, i wyszło drutu miedzianego mil 25,000 drutu żelaznego 35,000; a szpagatu mil 400,000. Długość tych nici razem wziętych wynosi cztery obwody kuli ziemskiéj. Okręt obciążony drutem, eskortowany wojennym angielskiem statkiem i potężną fregatą, wypłynął dnia 10 Lipca, i odbywając drogę wolno, z powagą, odpowiednią ważności zadania, co godzina za pomocą telegrafu elektrycznego, będzie do Anglji przesyłał wiadomości o losach swéj podróży.

Przewidziałbym również, czy wróżby o dobrem przyszłem powodzeniu p. Bolesława Syrewicza rzeźbiarza w Rzymie mieszkającego sprawdzą się. Przy nawiedzaniu bowiem bazyliki Śgo Jana Lateraneńskiego, Papież opuszczając katedrę, pobłogosławił piękną bardzo płaskorzeźbę, wykonaną przez młodego tego artystę, przedstawiającą chrzest Chrystusa Pana, a przeznaczoną dla kościoła katedralnego Śgo Jana w Warszawie. Nadto po błogosławieństwie Papież raczył powiedzieć artyście kilka słów serdecznéj zachęty, namawiając do pracy i dalszego rozwijania pięknego talentu, chwaląc dzieło z pod dłuta jego wyszłe. Pochwała ta prędko rozeszła się po całym Rzymie i zaraz rozpoczęło się odwiedzanie pracowni p. Syrewicza przez Kardynałów, Prałatów i inne znakomitości, co naturalnie bez wpływu korzystnego nie pozostanie.

Zająwszy się tak poważnie wiadomościami zagranicznemi, choć na chwilkę sprowadzę Was na bruk Warszawskiego życia i zajrzę do Teatru, w którym ukończyły się przedstawienia gimnastyczne towarzystwa Arabów, niepospolitych skoczków i siłaczów o jakich dotąd jeszcze nie słyszano podobno.

Są to po większéj części czystéj krwi Arabi, śniadzi, zwinni jak pantery, przytem młodzi i bardzo miłéj powierzchowności. Szczególniéj jeden siedemnastoletni, ładny jak młodziutka panienka, pociąga wszystkich ku sobie oczy, i obudza niezwykłe zajęcie. Jest między niemi dwóch murzynów także, dwóch Francuzów Algierczyków i trzech małych chłopaczków. Łamania, wyginania, skoki i grupowania, odbywają bez żadnych zupełnie przyrządów, a choć wszystko są to rzeczy bardzo niebezpieczne, jednak wykonywają je z tak zgrabną, wytworną elegancją, że w widzach nie obudzają najmniejszéj obawy, trwogi lub lękania się, nawet pomiędzy kobietami zwykle wrażliwszemi na podobne przedstawienia.

Wychodzi murzyn i staje na środku sceny: — za nim wybiega gromada towarzyszy, ubrana tylko w bluzki białe, z obnażonemi szyjami i nogami po kolana. Jeden z nich skacze, i jak wąż opasuje sobą w pasie murzyna. W téj chwili reszta gromady jak ptaki na skrzydłach, drapie się, wspina i w kilka sekund, staje grupa z ośmiu ludzi złożona, mająca za podstawę murzyna a za wierzchołek małego Arabczyka, stojącego w wyprostowanéj postawie na rękach niżéj pod nim zostającego. W małą minutkę murzyn się otrząsa, grupowcy zeskakują, malca jeden z nich łapie w powietrzu pod pachy i obraz znika jak jakie czarodziejskie widziadło. Po jednéj takiéj grupie następuje druga, czwarta i szósta, a zawsze zwinnie, prędko, zgrabnie że trudno dopatrzyć, jak się to wszystko ciągnie, wspomaga, chwyta za nogę, rękę, lub głowę, i daléj w górę, daléj do samego wierzchołka!

Po grupach zbiorowych, staje znowu Arab na środku sceny i zaledwie ukłonem powitał publiczność, z za sceny z dwóch stron, wypadają jak kule dwaj drudzy, skaczą na stojącego i w téj saméj niemal chwili, tworzy się piramida z trzech ludzi stających jeden drugiemu na ramionach, z taką pewnością, że już z większą nawet na ziemi stać nie można. Kiedy oklaski kończą się, najwyższy głową, jak to mówią z pieca na łeb, szybko spuszcza się na dół i kładzie na ziemi. Jednocześnie z nim jakby w dalszym ciągu bez żadnéj przerwy, to samo robi drugi i trzeci i potem podnoszą się nie pojedyńczo już, ale razem,

(Dodatek).

jakby piramida ta trzyosobowa była jednym człowiekiem, jakby nogi każdego z nich były przywiązane lub wrośnięte do ramion u drugiego.

Trzecią nareszcie sztuką szczególniéj zajmującą, jest szalony skok prawie w miejscu, od razu dokonany. Czterech Arabów staje tuż przy sobie, jeden z nich czając się, przysuwa się na kilka kroków do nich, i jednym rzutem jak rumak dający szczupaka w powietrzu, przerzuca się na drugą stronę, spada na ręce i wywinąwszy koziołka staje uśmiechnięty na nogach.

Innych łamańców i wyginań, rzucających wątpliwość, czy ci ludzie 'mają stawy i kości nie podobna określić piórem, trzeba widzieć naocznie, żeby powziąść choć małe wyobrażenie, o zręczności do jakiéj człowiek cierpliwością, wprawą i pracą dojść może.

Murzyn jednak ów siłacz, choć murzyn, niepozbawiony jest pewnéj chełpliwości. Opowiadał tu w towarzystwie, troszkę po niemiecku, troszkę po francuzku, a najwięcéj na migi, że u siebie w ojczystym kraju, pod zakładem, wpadłszy pod wołu, chwyta go na polu spokojnie pasącego się za przednie nogi i usadowiwszy na własnéj głowie i plecach, obnosi potem w tryumfie pomiędzy towarzyszami. Gdyby to było prawdą, co można troszkę przypuszczać, dla Warszawian stanowiłoby ciekawe widowisko.

Wytykając tę małą chełpliwość, niepodobna mi przemilczeć niedelikatności niektórych ciekawskich, jaką darzą zręcznych Arabów na ulicach Warszawy, wszędzie gdzie się tylko obrócą. Pominąwszy gawiedź wiecznie ich otaczającą, ścigającą, goniącą, jak jakie dzikie nieznośne zwierzęta, w Saskim ogrodzie przeszła rozmiary wszelkiéj nawet przyzwoitości. Siedzących bowiem na ławce, cicho, spokojnie i pragnących zapewne odetchnąć swobodniéj w pośród cieniu i aromatu lip kwitnących, otoczyła gromada ludzi nb. porządnie ubranych, patrzyła się w nich jak w tęczę, śledząc najmniejsze poruszenie, brunatność cery, białe turbany, burnusy, długie buty i nadsłuchując każdego wyrazu z ust ich wychodzącego. I tak stała i stała bez końca, tuż przy nich samych pod samym niemal nosem, jedni odchodzili, drudzy przychodzili, a Arabi patrzyli na nich, oni na Arabów pokazały się nawet szkiełka, ledwo że nie lornetki, że mnie spokojnego przechodnia, aż gniew zatrząsł febrycznie. Gdyby to ludzie byli z jednem okiem na czole, lub ze skrzydłami albo z czterema rękami i tyluż nogami, możnaby to jeszcze było troszkę wytłumaczyć, ale gapić się tak na Arabów.... wydziwić się nie mogę zarówno ciekawości patrzących jak i cierpliwości Arabów.

A jednak uważamy ich za cóś niższego od siebie za barbarzyńców. To większa chełpliwość jak owego murzyna przechwałka z wołem; czemże więc będą właściwie tacy ciekawi ichmoście........? Że nie mędrcami to Wam zaręczyć mogę.

O UBIORACH

Minął już ów tak zwany letni karnawał Warszawski miasto coraz puściejsze, coraz więcéj osób ucieka na wieś lub letnie mieszkanie, szukać chłodu i powietrza. Sklepy i magazyny tak zapełnione przed chwilą zaczynają się opróżniać, i dla tego zwykle mniéj w tym czasie napotykamy nowości.

Suknie z alpagi w różnych kolorach, gładkie i w rzucik ciągłéj używają wziętości, do najładniejszych należą białe w rzucik kolorowy. Pierwsze jednak miejsce zajmują fulary, najświeższe są w paski podłużne węższe lub szersze, w drobne rzuciki lub zupełnie gładkie, w jednym kolorze.

Tak z alpagi jak z fularów, robią zazwyczaj spódnicę z takimże paltotem, strojniejsze ze stanikiem gładkim i mantylką szalikową; młode osoby noszą do paltotów szerokie pasy z klamrami; nie radzimy jednak naśladować tego osobom starszym lub dość otyłym.

Suknie muszlinowe i bareżowe robią się zwykle ze stanikami pod szyję, z przodu wycięte czworograniasto, i takimże samym szalikiem.

Podajemy opis kilku sukien, odrobionych w magazynie pp. Kuhnke, podług najświeższych modeli paryzkich.

Suknia z alpagi jasno-szaréj; spódnica wycięta w duże okrągłe i głębokie zęby, objęte wypustką koloru *bleu-mexique*; paltot Louis XV dobrze otwarty z przodu, z wyłogami, objęty w około takąż wypustką jak spódnica; rękawy ścinane z szerokiemi mankietami. Pod spodem długa kamizelka z *poult de soie* spinana na białe guziki. Do téj sukni dobrany był kapelusik *amazone*, kastorowy czarny, przepasany czarną aksamitką z długiemi końcami, spiętemi gwiazdą stalową.

Suknia fularowa, koloru perłowego *gris de perles* miała spódnicę na szerokość trzech łokci u dołu z przodu gładką, daléj w koło wyciętą w duże płaskie okrągłe zęby. Paltot także po pół łokcia z przodu gładki, daléj wycięty w zęby jak spódnica, przystrojony był wstawką z imitacyi gipiurowéj, zakończony po obu stronach pukielkami i guziczkami. Rękawy ścięte do łokcia i odpowiednio przybrane. Pas rypsowy koloru sukni, pokryty wstawką gipiurową i spięty z boku rozetą z końcami z gipiurowéj barby. Do téj sukni należał kapelusik *empire* z tiulu kryształowego. Główka przystrojona była wielkiemi różami z kroplami rosy; podpięcie składało się nad czołem

z bufki z takiegoż tiulu, z lewéj strony wpięto pęczek pączków różannych, pod brodą szerokie końce z tiulu kryształowego lekko i zręcznie związane, dopełniły tego gustownego ubrania.

Suknia z muszlinu białego w lekko rzucane lila kwiaty. Spódnica *à la Pompadour* z dużym półłokciowym wolantem, nad nim odwrócony nagłówek z białego muszlinu. Stanik gładki, wycięty czworograniasto, ogarnirowany z przodu ruszą z muszlinu białego, spięty na białe guziki i opasany pasem lila z białą klamrą z konchy perłowéj.—Rękawki opasane pięć razy białą muszlinową ruszą, do tego mantylka szalikowa z falbaną jak u sukni, z nagłówkiem z białego muszlinu. Kapelusik *fanchon* z białéj krepy, przybrany parmeńskiemi fijołkami i konwalją, uzupełniał to świeże i eleganckie ubranie.

Kapelusze zwane *empire* coraz więcéj wchodzą w użycie: przystrojone na główce wielkiemi różami lub liśćmi palmowemi z kroplami rosy, ładnie bardzo ubierają.

Paltoty bynajmniéj nie wychodzą z mody tylko w coraz nowszych ukazują się fasonach. Do najnowszych liczą się tak zwane *Troubadour* z kieszonkami z tyłu, i *Henri IV* z fałdami, przybrane gipiurą, pasmanterją i małemi guziczkami.

Dawno istniejący i używający zasłużonéj wziętości sklep p. Langowéj z powodu śmierci właścicielki, zamknięty został. Słyszeliśmy już wiele z czytelniczek naszych kłopotających się, gdzie teraz zaopatrywać się w różne przybory do szycia i roboty damskie, gdzie znaleść tak piękny dobór zaczętych robótek, odznaczających się tu zawsze gustem i świeżością pomysłu. Otóż donosimy że p. Zanders, zostająca od lat dawnych w sklepie p. Langowéj, otworzyła takiż zakład, przy rogu ulic Miodowéj i Senatorskiéj, gdzie dawniéj była cukiernia Bellego. Oprócz najpiękniejszego doboru wszelkich przyborów do robót damskich sklep ten zaopatrzony został w różnorodne tak wykończone, jakoteż rozpoczęte roboty. Przytaczamy dziś najpraktyczniejsze niemal do codziennego potrzebne użytku.

Fartuszki dziecinne szydełkowe.

Kanzuciki włóczkowe dla osób dorosłych w rodzaju kamizelek.

Kaftaniczki dla dzieci drutową robotą z bawełny i włóczki.

Serwetki w gwiazdki szydełkowe na rozmaite ceny.

Wszelkie rodzaje bawełny, na skarpetki, pończochy, jakoteż wszelkie na szydełkowe roboty.

Bawełna 6-ciodrutowa.

Jedwab kolorowy i czarny.

Nici Szwajcarskie od Nr. 35 do N. 200.

Igły angielskie i zwyczajne.

W tymże magazynie znajduje się także kanwa zwaną *Jawa* biała bawełniana; na niéj poszywa się kolorowym kordonkiem lub bawełną rozmaite wzory.

Nowości Zagraniczne.

Petit Courier des Dames. Między okrągłemi kapelusikami, pojawił się nowy rodzaj trójkanciastych, przybieranych piórami. Używają ich u kąpieli morskich a szczególniéj do konnéj jazdy. Noszą także bardzo kapelusiki okrągłe z Brukselskiéj słomy, obłożone w koło ronda aksamitem czarném, przybrane dwoma strusiemi piórami, czarnem i szafirowem lub fijołkowem. Niekiedy zamiast piór strusich wpinają nad rondkiem ptaszka zwanego *lotophore*, z piórkami zielonemi nakształt pawich. Woal długi gazowy, zielony, biały lub szafirowy, stanowi konieczne dopełnienie tego kapelusika. Z pomiędzy wiązanych kapeluszy najmodniejsze zwane *Empire* z podniesioną główką. Robią je bardzo skromne', podpięte rulonem aksamitnym, — bez stali ani innych świecideł. Najmodniejsze z grubo plecionéj słomy Brukselskiéj — z klarowną krepową główką.

Co do sukien, najwięcéj widać na ulicy z bareżu *Lenos*, lub *poil de chèvre*, na takiejże saméj spódniczce; z takimże paletocikiem. Do sukien jedwabnych lub z gazy *Chambery* noszą spódniczki białe przybrane falbankami, albo wstawką z grubéj koronki *Kluny*. Zamiast sznurków do ściągania, przyjęto powszechnie klapeczki spięte na guzik, które stanowią zarazem garnirunek. Do niektórych przyszywają pod spodem na każdym brycie guzik i pętelkę w blizko półłokciowym odstępie — i te spinają razem. Prosty ten sposób, wybornie odpowiada potrzebie.

Podczas upałów letnich, noszą wiele sukien fularowych, w drobne paski.—Między innemi uważaliśmy bardzo ładną w lilla i białe paski. Takaż sama spódniczka pod spód, zakończona była u dołu wodą *à la vieille*. Suknia objęta wązką ukośną pliską, miała na każdym brycie małe klapki służące do podpięcia. Stanik pod szyję gładki, obciśnięty był pasem lilla.

Inna suknia z fularu niewarowego, wycięta była u dołu w głębokie zęby, objęte rulonem niebieskim (bleu méxique). Paletocik tak samo zakończony, spinał się na wielkie i wypukłe guziki, obciągnięte materją niebieską. Spódniczka była takaż sama. Mówiąc o spódnicach musimy tu dodać że zazwyczaj dają tylko wolant szeroki na trzy ćwierci łokcia lub gładką plisę, która się fastrzyguje na białéj spódnicy. Inaczéj cała spódnica taka jak suknia za nadto by wiele kosztowała.

Długie przynajmniéj na łokieć woale z tiulu jedwabnego, obszyte blondynką, powszechnie zostały przyjęte. Nie podnoszą ich w górę, coby psuło kształt kapelusza, lecz odrzucają na bok.

Opis deseni do wyszycia siatek

N. 1, 6, 19 i 28. Szlaki na serwety, firanki i kapy do przykrycia łóżek na kolorowéj podszewce.

N. 2, Deseń na serwetkę do okrycia fotelu aksamitnego. Ten sam deseń służyć może i na większą serwetę do okrycia stolika, jeżeli siatka robioną będzie na grubszym wałeczku.

N. 3, 4, 11, 13, 14, 17, 18, 21, 23, 26 i 27. Szlaczki do rozmaitego użytku.

N. 5 i 20. Desenie na serwetki do okrycia foteli. Po wykończeniu serwetki obszywają się bawełnianą frendzlą.

N. 7, 9 i 16. Rzuciki do rozmaitego użytku.

N. 8, 10 i 12. Desenie które służyć mogą na zakład-

ki do książek do nabożeństwa, wykonane perełkami w dwóch kolorach.

N. 22, 24, 25, 29 i 30. Rzuciki na firanki, serwety i t. d.

Wszystkie desenie zarówno służyć mogą do wyszycia siatek, roboty szydełkowéj lub kolorowego haftu włóczkami. Siatki czarne jedwabne do pokrycia poduszek na kanapę, poszywają się włóczką i podszywają kolorową mantyną.

Opis formy kaftanika marynarskiego, i stanika gładkiego z pasem z klapkami.

N. 1 Przednia część kaftanika marynarskiego. W tem miejscu gdzie oznaczone punkciki klapki się wykładają, najczęściéj odmiennego koloru od kaftanika.

N. 2. Połowa pleców kaftanika.

N. 3. Połowa kołnierza. Litery *T. M.* wskazują jak kołnierz przyszyć do kaftanika. Kołnierz tego samego bywa koloru jak klapki.

N. 4. Połowa rękawa.

N. 5. Całość kaftanika marynarskiego. Fasonem tym noszone są kaftaniki z wyrobów czarnych jedwabnych, flanelki kolorowéj a nawet bareżu jasnego podszyte białym muszlinem. Guziki dają się z białéj konchy perłowéj, złocone, kościane lub z lawy. Objęcie może być z taśmy wełnianéj, aksamitu lub pliski jedwabnéj stosownie do materjału kaftanika.

N. 6. Przednia część stanika gładkiego, naszyta jak rysunek wskazuje aksamitką albo wstążką.

N. 7. Boczek.

N. 8. Połowa pleców.

N. 9. Połowa rękawa. Naszycie u ręki również z aksamitu lub wstążki.

N. 10. Pasek z klapkami, którym się stanik opasuje. Długość jego zastosować trzeba do objętości figury. Robi się z téj saméj materji jak suknia i naszywa wąziuchną aksamitką lub wstążeczką odmiennego koloru.

N. 11. Całość stanika i paska z klapkami. Na sukni oznaczona jest tunika od stanu; z przodu zaokrąglona i otaczająca cały dół spódnicy nad obrębem. Oznaczenie to składa się z aksamitki lub wstążki. W środku idzie rząd guzików szmuklerskich albo z lawy.

NAJNOWSZE MASZYNKI

DO GOTOWANIA KAWY.

Przysmak kawowy tak dziś upowszechniony, stanowiący śniadanie znacznéj części wyrobniczéj ludności w Niemczech, a nawet pojawiających się i u nas w trzygroszowych półkwartowych daniach na targu za Żelazną bramą, nie zbyt dawno zyskał takie upowszechnienie i zmieniające go u wielu w zwyczajny codzienny posiłek. Pierwszy raz do Marsylji przywieziono kawę w r. 1644, ale jako rzadkość i lekarstwo sprzedawano ją tylko w aptekach filiżankami; w klasztorach zaś używano jako środka do odpędzenia snu, zwykle natrętnego w długich modlitwach i nabożnych rozmyślaniach. Wkrótce potem dwaj Amerykanie otworzyli pierwszą kawiarnię w Paryżu na targu Saint-Germain, a do nas przypłynęła dopiero w końcu zeszłego wieku, razem z podróżnikami do sławnych zachodnich krain, coraz bardziéj wciskając się do domowych apteczek i rugując owe słynne barszcze i polewki piwne tak przez przodków naszych ulubione.

W Wiedniu, po wyzwoleniu go z Bisurmańskiéj napaści, pierwszą kawiarnię miał założyć niejaki Kulczycki około roku 1685; w Warszawie zaś według miejscowéj tradycji, pierwsza kawiarnia otworzoną została na rogu ulicy Żabiéj, jak się skręca ku ogrodowi Saskiemu, z podawaniem kawy i śmietanki w oddzielnym imbryczku i garnuszku. Dziś w naszym grodzie kawiarnie liczyć można na setki, oprócz cukierni wydających dziennie także znaczną liczbę dań, ale nie wszędzie przyrządzenie jéj, godzi się nazwać smacznem i umiejętnem, a w niektórych nawet miejscach, kawa, słusznie nazwę *lury* otrzymała.

Aby kawa była smaczną i aromatyczną, potrzebuje szybkiego zagotowania się w wodzie, ale o tyle tylko, o ile konieczńie potrzeba do rozpuszczenia i wyssania z niéj najsmaczniejszych i najdelikatniejszych cząsteczek. Zbytecznie przestała i przegotowana, nabiera smaku ostro gorzkiego, zapachu niemiłego i użyta zbytecznie może się stać nawet szkodliwą.

Zwyczajnie gotowana w imbryczkach, wymagając szczególniéj baczności, do czego zwykle cała kuchenna rzesza nie bywa nader skorą, nie zawsze zostaje dobrze przyrządzoną i albo wykipi albo się przestoi, albo niedogotuje. Zapobiegając temu, oddawna wyrabiano różne maszynki do gotowania kawy, które z początku bardzo skomplikowane, pomału uproszczając się, dziś doszły do wielkiéj prostoty i jeszcze się z rokiem prawie każdym odmieniają i ulepszają.

Do ostatnich przyrządów, służących do gotowania kawy, należy maszynka którąśmy oglądali w magazynie p. Wejsbluma przy ulicy Nowosenatorskiéj.

Jest to maszynka rzeczywiście bardzo prostéj konstrukcji, składająca się z małego jakby kociołka do gotowania wody, i ze szklannego kielicha do sypania weń kawy. Kociołek pod kielichem umieszczony łączy się z nim za pomocą rurki, gdy więc woda zawre, przy pomocy ognia spirytusem utrzymywanego, zaczyna natychmiast wpływać do kielicha i obejmować znajdującą się w nim kawę. Za przygaszeniem ognia, woda zamieniona już w kawę, natychmiast ścieka do kociołka, zostawiając wszystkie fusy i męty w kielichu. Dogodność téj maszynki głównie stanowi możność obserwowania całego procesu gotowania kawy, i przedłużenia go lub skracania w jednéj chwili stosownie do upodobania, kielich jednak jako szklanny łatwo uledz może stłuczeniu, o co wcale nie trudno przy zgrabnych i starannych rączkach pokojowéj służby.

Cena maszynek tych stosowna do wielkości.

GOTOWALNIA.

Grzebienie. Grzebienie wyrabiają z szyldkretu albo z rogu.

Szyldkret, jest to zewnętrzna tarcza, pokrywająca grzbiet żółwia, zwanego *Caret*, który jak wszystkie żółwie, liczy się do rzędu płazów. Przebywa on w krajach ciepłych, mianowicie na brzegach Afryki. Inny gatunek zwany *Caouanne*, przebywający w mo-

rzu Czerwonem, i Madagaskarskim Archipelagu, zasila także handel Europejski.

Tarcza żółwia ma tę własność, że się rozmiękcza w wodzie gorącéj, i przybiera wszelkie kształty, można także rozmiękczywszy ją, spoić dwie osobne części w jednę całość. Tym sposobem daje się wybornie zastosować do różnego rodzaju wyrobów.

Wyższa tylko część skorupy żółwia, zwana pancerzem przychodzi do nas z Afryki, niższa część jest bez pożytku ponieważ pancerz ten ma kształt półokrągły, zajmują się nasamprzód jéj wyprostowaniem.

Aby spłaszczyć skorupę żółwią, trzeba zanurzyć w wrzącéj wodzie. Następnie układają owe skorupy, przedzielają je żelaznemi blachami, sciskają w prasie, zanurzywszy je w wodzie wrzącéj. Tym sposobem, skorupa żółwia staje się cienka i przezroczysta. Wówczas przybiera łatwo wszelkie formy, jakie jéj nadają za pomocą noża, piłki albo hebla. Można także wyciskać szyldkret w rozmaite wzory, polewając go wrzącą wodą.

Żółwie z rodzaju *Caret* których pancerze przysyłają nam z Afryki, ogromne mają rozmiary. Waga ich dochodzi niekiedy dwustu kilometrów. Żółw *caouanne,* poławiany w morzu Czerwonym przechodzi jeszcze tę wagę.

Morskie Żółwie, karmią się roślinami, to jest porostami morskiemi, i zwierzętami niższego rzędu, z gatunku mięczaków i polipów.

W Antyllach, na wyspie Maurycego i innych, mięso żółwie służy za zwykłe pożywienie, jak u nas wołowina. Jest to pokarm smaczny, zdrowy i posilny. Zupa żółwiowa tak ulubiona w Anglji, robi się z małych żółwiów poławianych w morzu Środziemnem. Z powodu wysokiéj ceny, przysmak ten używany tylko na stołach bogaczów.

Nazwisko szyldkret, składa się z dwóch wyrazów: szyld tarcza, i *kare* gatunek żółwia afrykańskiego.

Róg, zarówno jak szyldkret rozmiękcza się w wodzie wrzącéj, i łączy za pomocą gorąca. Zastępuje on wybornie szyldkret, w wszelkiego rodzaju wyrobach, przedmioty wyrabiane z rogu nadzwyczaj są tanie, z powodu małéj wartości materjału.

Woły, barany i kozły, a w niektórycd krajach i bawoły, dostarczają materji rogowej w wielkiéj obfitości.

U tych wszystkich zwierząt, róg jest wydrążony w środku, końce tylko całe zapełnione materją. Jedne rogi wystarczają tym zwierzętom na całe życie. Jelenie przeciwnie równie jak łosie, zrzucają rogi co wiosnę, po czem nowe im odrastają.

W ten sam sposób przysposabiają róg jak i szyldkret do wyrabiania z niego różnych przedmiotów.

Naprzód piłką oddzielają końce, używane do wyrobów tokarskich. Resztę rozłupują, ściskają w prasie i oblewają wrzącą wodą. Z takich tabliczek rogowych, wyrabiają nożem lub piłką, grzebienie, tabakierki, wachlarze i t. d.

Róg heblowany cienko staje się przezroczystym. Używają go też zamiast szklannych szyb, do latarni na okrętach, gdzie szkło ulega łatwemu stłuczeniu.

KORRESPONDENCJA.

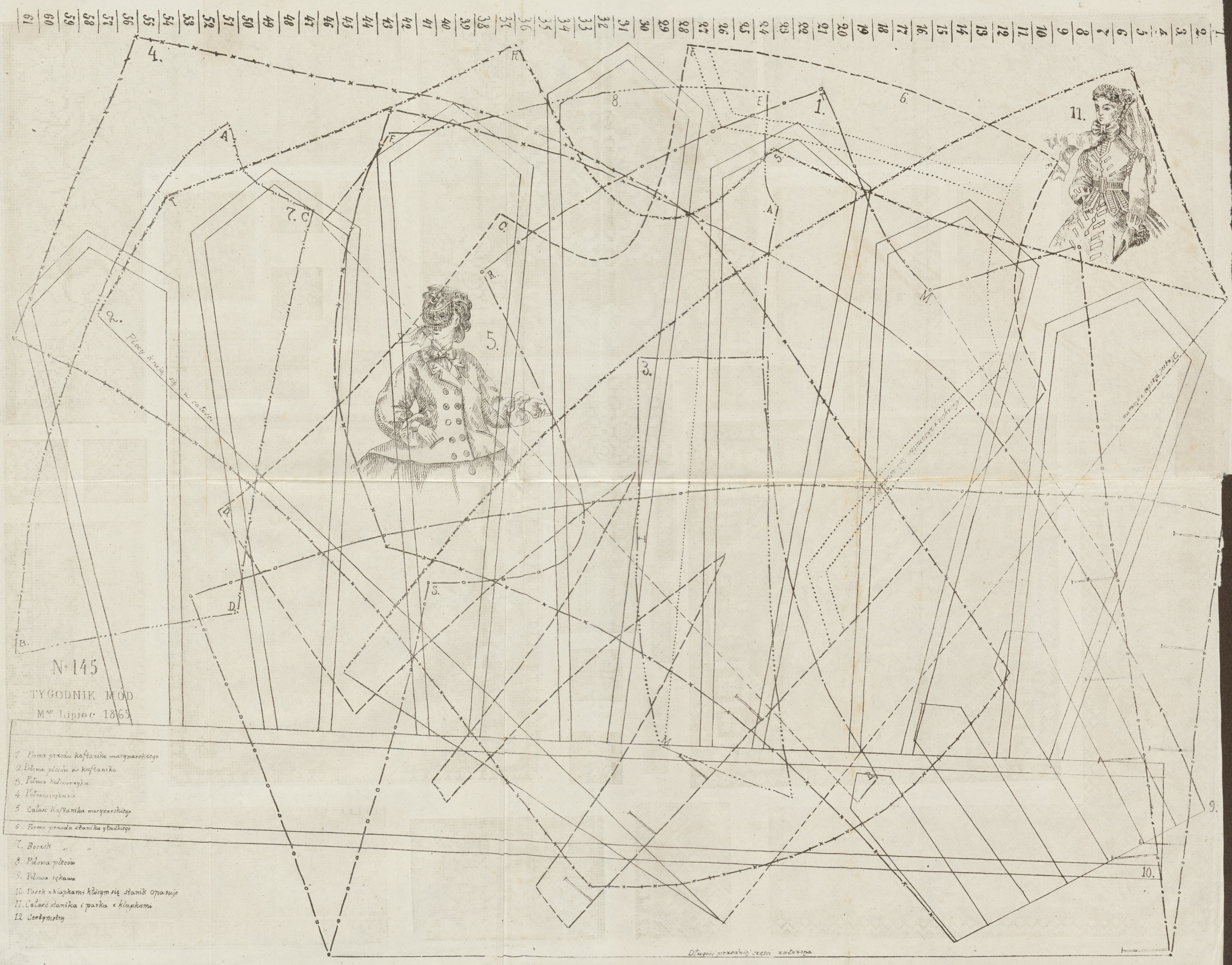
P. Pelagij Zabokli. w Wasiłówce. Do pisma codziennego, koperta półroczna kosztuje rs. 2. Brakuje więc do prenumeraty złp. 7 o nadesłanie których upraszamy.

P. Michalinie Bara. w Żytomierzu — Opiekun domowy zaprenumerowano tylko na pół roku, gdyż koperta wynosi półrocznie rs. 2. Redakcij należy się jeszcze złp. 1 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do wyszycia siatek oraz formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Nº 145
TYGODNIK MÓD
Mᶜ Lipiec 1865
1. Forma przodu kaftanika marynarskiego
2. Połowa pleców do kaftanika
3. Połowa kołnierzyka
4. Połowa rękawa
5. Całość kaftanika marynarskiego
6. Forma przodu stanika gładkiego
7. Boczek " "
8. Połowa pleców
9. Połowa rękawa
10. Pasek z klapkami którym się stanik opasuje
11. Całość stanika i paska z klapkami
12. Centymetry
Długość przedniej części założona

